

Sekcja Wychowanków Politechniki Kijowskiej przy Zarządzie
Federacji Stowarzyszeń Naukowo-Technicznych NOT

WSPOMNIENIA Z KIJOWA

III

(Wybrane utwory)

Wrocław

kwiecień - 1989

SPIS TREŚCI

Od redaktora wspomnień	3
Stefan Pawliszcze. Sześćdziesiątka	4
Grzegorz Rybakow. Zaskoczenie	*
Lech Bogucki. Wspomnienia z Kijowa	*
Roman Gorzelski. Żywi i martwi	11
Wacław Dominik. Kijowskie notatki	13
Tadeusz Karabowicz. Listy z Kijowa	*
Jerzy Jakubas. Moje spotkanie z Kijowem	*
Józef Woryna. Kijowska cerkiewka	*
Wanda Gołębowska. Wspomnienia o Kijowie	*
Renata Łakomska. Wspomnienia z Kijowa	*
Komunikat sądu konkursowego	*
Prasa o konkursie	*
Janusz Fuksa. Słowniczek kijowski	*
Kijów w rysunkach Olgi Nikodem	*

Od Redaktora Wspomnień

Trzeci tomik "Wspomnień z Kijowa", który bierzesz, Czytelniku, do ręki, stanowi kontynuację Wydawnictwa zapoczątkowanego przed dwoma laty. W odróżnieniu od dwóch poprzednich tomików, w których przeważały utwory napisane w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, w trzecim tomiku zamieszcza się prace z ostatnich kilku lat, choć dotyczące niekiedy dalszej przeszłości. Ich autorami nie są profesjonaliści, ludzie pióra, poza jednym dziennikarzem, nie są też osoby zawodowo związane z badaniami historii czy teraźniejszości Ukrainy. Są to natomiast ludzie, którzy krócej czy dłużej przebywali w Kijowie, podziwiali to miasto i polubili je. W 1987 r. przesłali swoje wspomnienia na konkurs ogłoszony przez Sekcję Wychowanków Politechniki Kijowskiej wspólnie z Naczelną Organizacją Techniczną i Towarzystwem Przyjaźni Polsko-Radzieckiej oraz przy udziale Związku Literatów Polskich. Podobnie jak to było dwadzieścia pięć lat wcześniej, gdy sądowi konkursowemu przewodniczył prezes Związku Literatów Polskich Jarosław Iwaszkiewicz, obecnie na czele jury stanął prezes ZLP, wybitny polski pisarz Wojciech Żukrowski, wspierając swoim autorytetem przedsięwzięcie Sekcji.

Trzeci tomik zawiera prozę i poezję, wspomnienia z okresu drugiej wojny światowej i czasów nam współczesnych, pisane albo z zacięciem literackim, albo w sposób czysto pamiętnikarski, mniej doskonały. Wszystkich autorów wyróżnia ogromna pasja w przedstawianiu wspomnień.

Życzliwość w stosunku do ludzi, z którymi zetknęli się będąc w Kijowie. Wspólny dla autorów jest podziw dla stolicy Ukrainy Radzieckiej, kolebki Rusi Kijowskiej, sympatia dla mieszkańców tego pięknego miasta.

Wspomnienia z Kijowa" ukazują się dzięki wsparciu i pomocy ze strony Zarządu Głównego Naczelnej Organizacji Technicznej, Zarządu Głównego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej oraz Ministerstwa Edukacji Narodowej, a także dzięki przychylności Rady Wojewódzkiej NOT we Wrocławiu, która zrealizowała tomiki wspomnień we własnej poligrafii. W imieniu czytelników, przede wszystkim absolwentów uczelni kijowskich, składam wymienionym organizacjom serdeczne podziękowania. Wyrazy uznania i podziękowania kieruję też do autorów, którzy zgodzili się społecznie udostępnić Czytelnikom swoje utwory.

Redaktor

W wersji elektronicznej prezentujemy nagrodzone jedną z dwóch głównych nagród wspomnienia Stefan Pawliszcze pod tytułem „Sześćdziesiąticy”. Utwór zamieszczamy ze skrótami. Ponadto zamieszczamy utwory zdobywców równorzędnych drugich nagród: Wacława Dominka i Romana Gorzelskiego.

SZEŚĆDZIESIĘTNICY

Wspomnienia, nawet te z najodleglejszej przeszłości, jak dowodzi rozpowszechniona praktyka, najlepiej jest zaczynać od dnia dzisiejszego. Mówiąc „dzień dzisiejszy” używam oczywiście przenośni. Powiedzmy, że chodzi o „dzień wczorajszy”. Kiedyś pewnemu autorowi zadałem pytanie, dlaczego swoje wspomnienia zaczął od opisu czasów najnowszych i usłyszałem odpowiedź:

- Chodzi, proszę pana, o wykluczenie sklerozy.

Był to oczywiście „dowcip dyżurny”, ale nie pozbawiony sensu, jako że wspomnienia zwykle pisują ludzie o bogatej, lecz i długiej przeszłości, a skleroza lubi zacierać w pamięci obrazy niedawnych czasów. A zatem dla udokumentowania, że w moim przypadku również nie chodzi o to przykre stadium wieku wspomnieniowego, pozwolę sobie zacząć od czasów najnowszych.

Rok 1986. Październik. Znow jestem w Kijowie. Nie będę kłamał, że po wielu latach, bo zaledwie po dwóch. Odwiedzam Kijów często – co dwa, trzy lata, lecz właśnie ten 1986 rok w Kijowie był z wielu powodów znamienny. Nie o wszystkich przyczynach i oznakach tej znamienności będę pisał. W pewnych sprawach, szczególnie w obliczu nieszczęścia, powaga nakazuje milczenie. Z drugiej strony fałszem byłoby udawanie, że nic się nie wydarzyło.

Wydarzyło się i wszyscy o tym wiemy. Nie w Kijowie, lecz obok – coś groźnego. Czernobyl! Jechałem pełen niepokoju, którego sam nie rozumiałem do końca. Dzisiaj wiem, że był to niepokój zrodzony wyobraźnią. Lękałem się, czy potrafię zrozumieć to, co zastanę. Czy będzie to ciągle ten sam Kijów jaki znam, czy może już inny? Bałem się zagadkowości zjawisk, bałem się ludzkich stresów, bałem się inności. Wyobraźnia przerosła rzeczywistość i właśnie to była przyczyna mojego lęku. Kijów stał na miejscu i właściwie wszystko było normalne. A zatem spokój i komfort psychiczny.

Lubiłem kijowskie parki pełne gwaru. Lubiłem emerytów grających w szachy i domino. Lubiłem dzieci i ich zabawy w wesołym miasteczku koło filharmonii. Nie brakowało niczego. Mogłem znow jak dawniej wałęsać się bez celu nad Dnieprem. Mogłem jak kiedyś siedzieć na ławce i wpatrywać się w złocene kopuły klasztoru peczerskiego. Mogłem robić to, co dawniej.

A wspomnienia? One pojawiają się nagle, jak duchy z przeszłości. Oto stacja metra o nieskomplikowanej nazwie „Liwobereżna”, czyli po prostu lewobrzeżna. Oczekując na przystanku autobusu nr 95 bezmyślnie odczytuję wszystkie reklamy i ogłoszenia, po kolei. Moją uwagę zwraca plakat z fotografią aktorki: Niła Kriukowa – ludowa artystka USRR. Wieczór literacki. Program złożony z poezji Iwana Dracza.

I oto ono, wspomnienie: Iwan Dracz, współcześnie najpopularniejszy poeta Ukrainy, wybitna postać w literaturze radzieckiej. Ile przymiotników przy tym nazwisku? A przecież chodzi o Iwana Dracza, po prostu o niego... Pamięć cofa się do roku 1961. Kijów. Dom akademicki przy ulicy Łomonosowa... Szumna nazwa „ulica Łomonosowa”! ... A wówczas? Wówczas był to wygwizdów, gdzie diabeł mówi dobranoc. Żeby się z tej ulicy Łomonosowa wydostać na Uniwersytet, czyli do centrum, trzeba było odbyć godzinną jazdę zatłoczonym trolejbusem nr 14, a przedtem jeszcze około kilometra pieszo po drodze, na której, w zależności od pogody, albo miesiło się gliniaste błoto, albo też wdychało żółtoszary pył wzniesiany przez ciężarówki z budów.

I oto Iwan Dracz. Tamten Dracz – z akademika. Raczej niewysokiego wzrostu, blondyn, już wtedy z wyraźnie zarysowaną łysiną. Twarz skupiona, opuszczone kąciki ust znamionują upór charakteru. Mieszkał na tym samym piętrze, co ja, lecz w drugim końcu korytarza. Był wówczas na trzecim roku filologii, czyli o dwa lata przede mną. Nie ukończył tych studiów. Właśnie wówczas, na trzecim roku, uznał studiowanie za stratę czasu. Oczywiście, nie wszelkie studiowanie, lecz właśnie takie, akademickie, wedle ułożonego programu, w którym niezaliczenie jakiegoś przedmiotu, na przykład ekonomii politycznej lub ateizmu naukowego, nie pozwalało stać się inżynierem, nauczycielem, lekarzem czy aktorem. A przecież nie w tym rzecz. Już wtedy była poezja. Już wtedy był „Nóż w słońcu”, ballady... Pamiętam, że próbowałem je przekładać:

Ta chata w sercu ma wiecznie płonąć,
Musi być jasna przy każdej pogodzie.
Stoją słomiano-płowe Partenony
Ultramaryną mieniać się w wodzie.

Gdzieś tam, w szufladzie biurka, leżą jeszcze stare notesy z tymi niezdarnymi próbami przekładu. To też wspomnienie. Jego poezja szokowała, bo oto zamiast patetycznych wzlotów, zamiast bohaterских postaci, pojawia się zwyczajność. „Ballada o wypranych spodniach”, które gwiazdami przyszpilone do sznurka odpływały do nieba... Cóż to za poezja – krzyczano. Komu potrzebny obraz wypranych spodni i księżyc, który z ojcem gra w szachy – pytano. Krzyczano, pytano, nawet psioczono... Lecz czytano! Ballady, etiudy, poematy... Tym się żyło.

Jak wytłumaczyć to zjawisko? Przecież poezja istniała od dawna. Jest chyba najstarszym rodzajem literackim. Jest również „mową bogów”, trudno dostępną dla zwykłego śmiertelnika. I raptem taki wybuch zainteresowania. Nie chodziło tu chyba o jakąś miłość od pierwszego wejrzenia. Raczej chyba nie. Poezja Iwana Dracza i on sam w centrum zjawisk literackich Kijowa wybuchają nagle jak wulkan, wywołując coś na kształt skandalu. Pojawiają się również inne, nowe postacie – Witalij Korotycz (obecnie redaktor naczelny "Ogońka", Mykoła Wingranowski – wychowanek niezapomnianego Ołeksandra Dowżenki. Nowym donośnym głosem przemawia Lina Kostenko, we Lwowie poruszenie wokół nowego tomika Dmytra Pawłyczki. Jak meteor zapala się i gaśnie przedwcześnie, lecz już odcisnąwszy niepowtarzalne piętno w literaturze, tragiczny Wasyl Symonenko. Nowe nazwiska, nowe utwory, nowe formy i treści.

A przede wszystkim nowa atmosfera. Atmosfera wielkich wydarzeń. Tę atmosferę tworzy grupa ludzi, wśród których najgłośniej i najwyraźniej brzmi właśnie to nazwisko: Iwan Dracz. Wieczory poetyckie w Kijowie stają się najciekawszymi zdarzeniami w życiu kulturalnym, a nawet społecznym. Spychają na dalszy plan teatry, filmy, koncerty, wreszcie wielki futbol, chociaż w owym roku kijowskie „Dynamo” po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat przełamało hegemonię drużyn moskiewskich i wygrało mistrzostwa. Wieść, że wystąpi Dracz, Lina Kostenko, Dziuba, Wingranowski, później Stus, Telniuk, Switłychnyj – jak magnes przyciągała tłumy. Nie było ogłoszeń, plakatów, anonsów, lecz były pełne sale i burze emocji.

Była również konsternacja, szczególnie w gronach zasiedziałyach dzierżawców niwy kulturalnej. Tych, którzy dotychczas mieli monopol. Nie chodziło tu oczywiście o takie nazwiska, jak Pawło Tyczyna, Maksym Rylski, Mykoła Bażan czy Wołodymyr Sosiura. To byli żywi klasycy. Ich miejsce w literaturze i jej historii nie budziło wątpliwości. Zadrżeli inni – średniowieksi i średniomniejsi. Raptem zaczęły pojawiać się zatroskane głosy „w imieniu prostego człowieka”, że nie rozumie tej poezji, że jest ona przeintelektualizowana, że dekadentyzm i tak dalej. Żywi klasycy pełni powagi milczeli. Zdarzało się, że uświetniał swoją osobą wieczór Rylski lub Tyczyna, ale była tylko obecność. Nie było ocen.

Szestydesiatnicy (sześćdziesiątnicy, czy coś w tym rodzaju) – tak nazwała siebie ta grupa młodych literatów, a więc poetów, prozaików, dramaturgów, którzy wkroczyli do literatury na początku lat sześćdziesiątych. Oczywiście, samo pojawienie się w tym czasie na łamach prasy, sam debiut literacki o niczym nie przesądzały. To była tylko jedna z cenzur. A były jeszcze inne. Świadectwem przynależności do „sześćdziesiątników” było przede wszystkim nowe podejście do formy i nowe treści. Jeszcze może niezbyt precyzyjnie określało się to „nowe”. Jeszcze trudno było wskazać, w którym miejscu przebiega owa granica pomiędzy „nowym” a „starym”, lecz ono, to nowe, już istniało. Czuło się jego obecność. Nawet intuicyjnie.

Oto centrum Kosmosu – Ziemia,
Bo to na niej żyje Człowiek.
Bezkres twego rozumu
Tak wchłania bezkres Kosmosu,
Jak sucha gleba kroplę rosy.
Wokół ciebie wirują światy,
W tobie cała nadzieja
Wszystkich stuleci, kontynentów, ziem.
I ja mieszkam w tobie.
W tobie mieszka Einstein –
Spokojny i rozważny mędrzec,
Wielki sceptyk
I wielki fantasta.

I. Dracz: Pragnienie (fragment)

Tego jeszcze nie było. Wówczas nie było. Wprawdzie już wcześniej E. Dołmatowski wzywał:

Niech wstanie Chaplin, Einstein, Picasso,
Niech wstanie Przyszły,
Wszyscy niech się zrodzą.
A wy, idioci na straży tradycji,
Nie podejmujcie środków nadzwyczajnych,
Nie orzekajcie, prawy on czy grzeszny.

Lecz to jeszcze nie był ten pełny głos. Co to było? Preludium? Prolog? Uwertura?...

Wieczór poświęcony pamięci Wasyla Symonenki odbył się w salce z trudem do tego celu wynajętej, pod hasłem niesienia poezji masom i z programem (tym opublikowanym), Który niewiele obiecywał. Nazwisko jednak znaczyło swoje.

O, jak on szedł!
Strumieniła się droga
Dał do spragnionych oczu płynęła.
To nie stąpały,
Śpiewały nogi
I cisza muzykę marszu chłoneła.

Ten wiersz „Przechodzień” deklamowała wnuczka wielkiego Kociubińskiego, Michalina. Oczyma wyobraźni widzieliśmy tego przechodnia – poetę, który szedł, wspanialszy od innych i tworzył poezję własnego marszu. Widzieliśmy również, jak idąc potknął się i słyszeliśmy przyciszone, nikczemne głosy zadowolonych mieszczuchów.

Jedni współczuli jemu ubogo,
Inni smagali niechętnym słowem.
Gdy idziesz, trzeba patrzeć pod nogi,
Inaczej można utracić głowę.

Widzieliśmy, czuliśmy tę zwykłą kolej rzeczy: kiedy On szedł, tworząc symfonię własnego marszu, tego nie widział nikt. Zauważono go dopiero wtedy, gdy się potknął. Lecz oto zakończenie:

Ktoś pomamrotał coś bez potrzeby,
Nad cudzą biedą przygasił wzrok,
A on znów szedł
I patrzył przed siebie,
I znów natchniony tworzył swój krok.

To było piękne. To było nowe. To było już, niestety, kameralne. Kończył się rozmach, żywioł, bunt. Zaczynał się porządek.

To życie cichło, uspokajało się, milkło w jakiś fatalny sposób. Nikt nie potrafił (nie wszyscy chcieli) wytłumaczyć, dlaczego tak się dzieje. Jeszcze gdzieś pojawiały się oznaki tego płomienia, lecz czuliśmy, jak on powoli dogasa i byliśmy bezradni. Przy tej okazji wspominam kilka zdarzeń.

Pierwsze, to spotkanie w domu literatów. Lubilem tam chodzić i miałem nawet swoją ulubioną dróżkę. Szło się ulicą Marksa (*dziś: ul. W. Horodeckiego*) do teatru im. Franki, a następnie obok placu zabaw dziecięcych w górę do ulicy Ordżonikidze (*dziś: ul. Bankowa*). Lubilem tę dróżkę dlatego, że stał (i stoi) tam dom. Dom, który sobie szczególnie upodobałem. Dom jak z bajki. Słyszałem od kogoś legendę, że architekt, jego budowniczy, przeżył nieszczęśliwą miłość i w bryłę tego domu wpisał cały stan swojej duszy. („*Dom z chimerami*” zbudowany wg projektu Władysława Horodeckiego (1863 – 1930), wybitnego architekta, inżyniera-konstruktora, malarza i pisarza, podróżnika po Azji i Afryce, Polaka mieszkającego w Kijowie – red.). Dom tak wygląda, jakby znajdował się pod wodą. Ściany, nawet elementy dachu ozdobione są płaskorzeźbami i ornamentami z podwodnego świata: wodorosty, fantastyczne żyjątki, sieci. Jakaś baśń lub marzenie. A może to tylko smutek. Pod domem przebiegał tunel ze schodami. Tym tunelem wychodziło się na ulicę Ordżonikidze, a u jego wylotu (element bramy czy też ogrodzenia) znajduje się wspaniała rzeźba przedstawiająca walkę orła z lampartem. Zatrzymałem się przed tą rzeźbą, by wpatrywać się w tę dramatyczną scenę. Nieopodal, około 200 metrów dalej, jest właśnie dom literatów.

To była późna jesień. Sala wypełniona po brzegi. Stół prezydialny. Przy stole jeden z wiodących krytyków literackich, Leonid Nowyczenko. Pastać budząca zainteresowanie przez swą otwartość. Wiekiem raczej przynależny do sfery „zasłużonych i uznanych twórców”, lecz postawą określił się w sposób nie budzący wątpliwości po stronie tej grupy młodzieży literackiej, która nazwała siebie „sześćdziesiątnikami”. Pierwszy tomik poezji Iwana Dracza „Soniasznyk” (Słonecznik) właśnie on opatrzył słowem wstępnym o znamienym tytule „Iwan Dracz – nowobraniec poezji”. Była to nie tylko i nie przede wszystkim ocena krytyczna, lecz raczej dobre słowo na drogę życia, czy może na drogę sławy. Jak się później okazało – dość krętą i wyboistą. Dracz również był na tym spotkaniu, byli i inni: Korotycz, Kostenko, Dziuba... Tym razem nie jako główni aktorzy widowiska, lecz na widowni. Ten wieczór był chyba jedną z ostatnich promocji. Na nim właśnie poznałem (nie osobiście, lecz jako literata) młodego prozaika Walerija Szewczuka. Obecnie jest to jeden z najbardziej znanych i najczęściej (również w Polsce) tłumaczonych prozaików ukraińskich. Wówczas, na tym spotkaniu właśnie, jego utwory, fragmenty nowel przyjęto najentuzjastycznie. Przede wszystkim ze względu na styl, jego lekkość, dojrzałość oraz celność obserwacji psychologicznej. Była to jakby zabawa słowem, odkrywanie szczegółów, w życiu nic nie znaczących, lecz tworzących atmosferę ciepła i życzliwości wokół bohaterów. Bez patosu, bez sztampy, bez ogranych figur stylistycznych. Wiele zwyczajności i niezwykłości... Mimo obecności również innych młodych „nowobrańców” (jak choćby znany obecnie poeta Robert Tretiakow, czy prozaik ze Lwowa Kowal), Iwia część uwagi obecnych skupiła się właśnie na tym młodym prozaiku i w czasie tego jednego pamiętnego wieczoru młody student wydziału historycznego przekroczył próg do przybytku sławy. Za progiem, jak się później okazało, były jeszcze schody, długie i kręte, lecz to już była codzienność i, co chyba najważniejsze, ciągle w górę.

Była również dyskusja. Już nie taka spontaniczna. Czulo się, że ta wieczornica ma charakter uporządkowany. Przynajmniej w zamierzeniu. Z ortodoksyjnych pozycji przystąpił do ataku pisarz o nazwisku Czabaniwskyj. Swoje wystąpienie zaczął od niedorzecznego wręcz porównania stylów Szewczuka i Hemingwaya. Miało to być krytyczne, druzgocące, oczywiste. Było tylko żenujące. Więcej już takich wieczorów nie było. Inne były. Chodziliśmy również i na nie. W nadziei... Oto przykład.

Wieczór poezji w domu kultury zakładów „Biliszowyk”. Najpierw była reklama – odręcznie sporządzone plakaty: „Z poezją do robotników”, czy coś podobnego. Nie to jednak było główne. Nazwiska. Szukaliśmy nazwisk. I nazwiska były. Cały gwiazdociąg: Dracz, Korotycz, Kostenko i inne.

Zakłady "Bilzowyk" są położone z dala od centrum. Jechało się metrem. Przed domem kultury tłok. Ogólny nastrój podniecenia, niestety, przerodził się w rozczarowanie. Wieczór odwołano, nie podając przyczyn. Wszelkie zapytania i interwencje pozostawiono bez odzewu. Stałem nieopodal gabloty, w której w poprzek plakatu o wieczorze naklejono pasek z napisem "Otmieniajetsia". Stojący obok w grupie główni aktorzy tego odwołanego spotkania dyskutowali o czymś ze spokojem. Kiedy już ponad wszelką wątpliwość stało się jasne, że imprezy nie będzie, ktoś rzucił hasło: „Idziemy do parku”. Hasło jak echo powtórzono w różnych miejscach i tłum ruszył.

Ten odwołany wieczór odbył się w mroku parku. Przed schodami do skweru z fontanną zatrzymała się cała widownia. Wywoływano po kolei autorów, skandowano ich nazwiska tak długo, aż wyszli na schody. Wystąpili wszyscy, którzy mieli wystąpić. A kiedy już ostatni z „planowanych” zszedł „ze sceny”, wychodzili i ci, których na afiszu nie było, a więc Pidpałyj, Tymenko, Skworcow i inni. Wieczór trwał do późnych godzin. Pamiętam go lepiej niż inne, bo był to ostatni wieczór młodej poezji w Kijowie, na którym miałem szczęście być obecny. Zdarzały się jeszcze spotkania w domach prywatnych, słuchaliśmy autorów „na żywo” lub z taśm, lecz bezpowrotnie minęła wspaniała atmosfera poetyckiego święta.

Opuszczając w roku 1965 Kijów po ukończonych studiach, miałem odczucie, że nigdy w życiu nie przeżyję już niczego podobnego.

I oto po dwudziestu jeden latach na przystanku autobusu nr 95, przy stacji metra „Liwobereżna”, stoję wpatrując się w plakat obwieszczający, że w dniu 9 października 1986 r. w sali kolumnowej im. W. Łysenki Państwowej Filharmonii Kijowskiej odbędzie się...

Gdzie jest granica pomiędzy zrządzeniem losu, jeżeli ono istnieje, a zbiegiem okoliczności? Zawsze lubiłem klimat tej filharmonii. Duży holl. W hollu szatnie. W oczekiwaniu na rozpoczęcie przechadzam się bez celu. Jak kiedyś. Same nieznanome twarze. Młodzież, dużo młodzieży, nawet dzieci. Uśmiecham się. Ot, tak po prostu, do siebie samego. Dawno nie miałem takiego nastroju. Widownia wypełniona do ostatniego miejsca. Nie ma tłoku, bo tutaj to nie przyjęte – nie sprzedaje się więcej biletów niż miejsc. Siedzę w ósmym rzędzie z lewej strony. Widoczność dobra. Na scenie fortepian, a jedyną dekoracją jest rząd krzesel o wysokich oparciach, na których rozwieszono różnokolorowe chusty. Jak się później okazało, rekwizyty.

Na krótko przed dzwonkiem na widownię wchodzi autor – Iwan Dracz. Wita się z paroma osobami, zamieniając grzecznościowe zdania. Po dzwonku siada w pierwszym rzędzie. Na scenę wkracza Niła Kriukowa i towarzysząca jej pianistka. Piszę o tych szczegółach w pełni świadom, że nie wszystkie one tworzą równie wartościowy materiał wspomnień. Piszę o tym, bo, jak się później okaże, ten wieczór i ta zwykła otoczka wokół zdarzeń jest również elementem przemian, które znamionują wkraczanie nowego do rzeczywistości, powszechnie określanego jako „głasność” i "pieriestrojka". Oto słyszę utwór, który nigdy dotąd ze sceny nie brzmiał. W sali cisza, a słowa wciskają się do duszy jak szpilki za paznokcie. Aktorka czuje ten rodzaj odbioru na widowni. Wie, że to, co mówi boli. Skanduje bez uśmiechu:

Panom kłaniamy się do nóg
Jak kazał car, jak kazał Bóg.
Do obcych niewolniczo Igniemy
I po śmietnikach im grzebiemy...

(Fragment drugiego widzenia z poematu "Śmierć Szewczenki")

Potem była przerwa, okłaski i kwiaty. Obok mnie przechodzi, ciężko opierając się na lasce, starszy pan. Nie mam wątpliwości, to Skrypnyczenko. Aktor, obecnie na emeryturze. Dawniej... no cóż, dawniej? Mija przecież wszystko. W mig podejmuję decyzję. Przecież mnie nie zje. Idę za nim.

- Przepraszam, czy pozwoli pan, że się przywitam?

- Proszę bardzo. – Podaje mi rękę. – Czy my się znamy?

- Oczywiście. Ale to już dwadzieścia lat. Nawet więcej.

- Niech mi pan pomoże. Nie pamiętam.

- Pan prowadził na uniwersytecie teatr poezji.

W starym aktorze budzi się zawodowy refleks.

- A, to pan! Oczywiście. Pan przecież jest...

Podaję swoje nazwisko.

- Oczywiście, oczywiście. I cóż tam u pana słyszać? O ile pamiętam, pan pochodzi...

- Z Polski – szybko wpadam mu w słowo.

- Ależ tak! Wiem, że z Polski. Chodzi o miejscowość.

Uniósł brwi i z uśmiechem spojrzął na mnie. Podaję miejscowość, bo nie wybrnąłby z tego. Nigdy go o tym nie informowałem. Ucieszył się. Ja również, choć z innego powodu. Minęła niezręczna sytuacja. Rozmawiamy jak starzy znajomi. A przecież on już ma co najmniej osiemdziesiątkę. Kiedyś opowiadał, że w dzieciństwie widział cara... „Staliśmy szpalerem w mundurach gimnazjalnych. Raptem gwar. Podniecenie. – Jedzie! – słysząc głosy. Oddział konnych, w środku oddziału wspaniała karetka. W karetce parę osobistości. – Który to car? Czort joho znaję! Ale widziałem go na pewno”. – Powtarzaliśmy to sobie jako anegdotkę.

Mija przerwa. Zaczyna się część druga spektaklu. Wymieniam z mistrzem grzeczności, żegnamy się i wracamy do sali.

Po koncercie owacje. Długie i natrętne. Aktorka bierze naręcz kwiatów, schodzi ze sceny i wręcza autorowi. Okazuje się, że koncert zbiega się z pięćdziesiątą rocznicą jego urodzin.

W hollu rozłożono mały kramik z tomikami wierszy Dracza. Kupuję dwutomowe wydanie jubileuszowe. Bardzo staranne, z przedmową. Podobnie jak niegdyś pierwszy zbiorek "Słonecznik" i to wydanie jest opatrzone przedmową Leonida Nowyczenki. Czytam na stojąco: „Bo i rzeczywiście przynieśli ci poeci (sześćdziesiętnicy – S.P.) z sobą twarde postanowienie odnowić i wzbogacić duchowo-estetyczne struktury literatury ojczystej (na przekór nieomal powszechnemu, jak się im wtedy zdawało, „zatwardzialemu tradycjonalizmowi”)”... A jednak, – pomyślałem rozczarowany – jednak wstawił to swoje tchórzowskie „jak się im wtedy zdawało”. Nie szkodzi. Jakoś to przeżyjemy. Nic się nikomu nie musiało zdawać. Tak było, panie krytyku, i pan dobrze o tym wie.

Czekam na niego. Inni też czekają. Podobnie jak ja, z książkami w rękach. Dracz zjawia się. Obok niego żona, Marija. Zawsze to podkreśla: Marija. Jest również syn i Niła Kriukowa. Otaczają go ci z książkami. Cierpliwie podpisuje, uśmiecha się, prosi o podanie nazwiska. Jest życzliwy. Chcę podejść jako ostatni, zauważa mnie.

- Pan również? – pyta.

- Tak.

Patrzy na mnie uważnie. Czyżby poznał? Chyba nie. To raczej mało prawdopodobne. Nigdy nie byliśmy bliższymi znajomymi.

- Mam wrażenie, że pana znam.

- Zналиśmy się – odpowiadam – dość dawno.

Podaję nazwisko. Pyta, czy ono się odmienia. Żartem mówię, że Pohrebennyk przekonywał mnie, że się odmienia.

Pisze moje nazwisko w celowniku.

- On jest profesorem i on wie.

Zwraca mi książkę i pyta dalej. Wyjaśniam, że przyjechałem z Polski. To pomaga. Rozmawiamy parę minut o wspólnych znajomych i żegnamy się prawie jak przyjaciele. Prawie tak, jak wtedy, gdy byliśmy studentami.

Mija kilka dni. Muszę jeszcze oblecieć wiele miejsc. Nie byłem na Podole. Właściwie, to nie ma już starego, szarego Podolu. Jest całkiem nowa dzielnica. Z szerokimi alejami, z gwarem, tętnieniem... Niestety, to już niemożliwe, bym zdołał obejrzeć wszystko. Wieczorem otrzymuję telefon. Dzwoni Rostysław Dacenko, kolega z roku. Utrzymuję z nim możliwie stały kontakt. Jest tłumaczem – przekłady Faulknera, Wilde'a, O'Connora, Dickensa i in.

- Słuchaj, – woła – kiedy wyjeżdżasz?

Podaję datę.

- To dobrze. Jeszcze zdążysz.

W dniu 17 października, w republikańskim domu filmowca odbędzie się właśnie jubileuszowy wieczór poświęcony twórczości Iwana Dracza.

- Co z zaproszeniem?

- Przyjdź. Coś wymyślimy.

Przed olbrzymim gmachem domu filmowca tłok. Jestem za piętnaście szosta (osiemnasta). Rostysław czeka na mnie zmartwiony. Nie ma zaproszeń, ani szans na nie. Podejmuję decyzję: pcham się bez zaproszenia. Udaję, że nie znam języka. W drzwiach korkuję cały tłum i po polsku, a także przy pomocy rąk próbuję coś wyjaśnić portierowi. Nic z tego. Nie chce wpuścić. W tym momencie jakaś starsza pani wciska mi w dłoń zaproszenie.

- Spasybi – mówię do niej i macham kartonem przed nosem cerbera.

Wpycha mnie do środka.

- Nachał – słyszę jego zdenerwowany głos.

- Pocałuj mnie w nos – odpowiadam w duchu najczystsza polszczyzną.

W hollu gwar. Kularowe dyskusje na różne tematy. Czuje się elektryczność w powietrzu. Wspaniała, znana sprzed lat atmosfera. Dużo młodzieży. Pod wielką gablotą dostrzegam Walerija Szewczuka. Tego samego, o którym pisałem, prozaika. Dzisiaj to już filar ukraińskiej prozy. Zdarzało mi się go w ostatnich latach odwiedzać w jego mieszkaniu na Kaukaskiej. Z ostatnich odwiedzin wróciłem obładowany jego książkami. Długo czekały na swoje pojawienie się, lecz później, nagle, jak z rogu obfitości. Przechodzę obok, lecz nie zauważa mnie. Jest odwrócony tyłem i zajęty rozmową. Kieruję się do sali widowiskowej. Niestety, wygląda na to, że przestoję ten wieczór pod ścianą. Wszystkie (co najmniej parę tysięcy) miejsca są już zajęte. Stoję u wejścia. Może się zdarzyć, że i stojące miejsce będzie do niczego. Podchodzi W. Szewczuk. Z nim młoda dziewczyna. Poznaje mnie z daleka (oczywiście on) i wita wylewnie. Przedstawia dziewczynę – córkę. Studiuje romanistykę.

- Ma pan już miejsce?

- Stojące.

- Szkoda. Tam, na przedzie siedzi Niła (jego żona, a moja koleżanka z roku).

- Proszę pozdrowić.
- Dziękuję.

Wodzę oczyma po sali, starając się wyłowić jakieś znajome twarze. Niestety, w gwarze i ruchu obraz zlewa się. Trudno dostrzec szczegóły. Głowy, głowy – tysiące głów. W pobliżu sceny ktoś kiwa ręką. Przecieram oczy. To przecież Niła. Kiwa do mnie. Czyżby? To dziesięć razy więcej, niż marzyłem i sto razy więcej, niż zasługuję. Przeciskam się między rzędami. Oferuje mi miejsce obok siebie. Mąż z córkami siedzi w następnym rzędzie. Odwracam się i witam z drugą córką. Szepczę do Niły:

- Nie gniewaj się. Twoje córki są wspaniałe, lecz ty wyglądasz młodziej.

Śmieje się. A przecież ja serio. Ile to lat? Dwadzieścia jeden? A jednak nie zmieniła się. Może troszeczkę, ale bardzo nieznacznie. Prowadzimy luźną rozmowę o wszystkim i o niczym. Minuty płyną szybko. Gwar cichnie, na scenę wchodzi główni aktorzy.

Oleś Honczar („Chorażowie”, „Człowiek i oręż”, „Sobór”) zagaja zebranie. Krótkie przemówienie wprowadzające. Po nim słowo o jubilationie wygłasza sekretarz Związku Literatów Ukrainy Borys Olijnyk. Referat jest klarowny, a co najważniejsze, napisany ciepło i z humorem, jak o przyjacielu. Publiczność reaguje żywo, sam jubilat się uśmiecha. Oklaski. Następnie o twórczości Dracza mówi Leonid Nowyczenko. Znow oczekuję czegoś ostrożnego, jakiegoś „wydawałoby się”, ale nie ma. Nie ma!

Zaczynają się wystąpienia gości z bratnich republik. Nieobowiązujące, kurtuazyjne, ale i głębokie, celne, pełne zadumy.

Jest już późno. Tłum przed domem filmowca dzieli się na grupki, zależnie od kierunku, w którym się udają. Rostysław rozmawia z jakimś mężczyzną. Niski, w zielonym płaszczu i kapeluszu. Obok przechodzą Szewczukowie. Żegnam się z nimi. Zapraszają do siebie. Może jutro. Niestety, nie wystarczy mi już czasu. Podchodzę do Rostysława. Przedstawia mi swego rozmówcę.

- Łeś Taniuk.

Witamy się. Coś mi zaczyna świtać, ale nie mówę sobie przypomnieć. Korzystając z zamieszania odciągam Rostysława na bok.

- Kto to jest?

- Reżyser. Obecnie dyrektor teatru młodzieżowego na Swierdłowa.

Pospiesznie rzuca kilka danych o moim nowym znajomym. W latach sześćdziesiątych Taniukowi, wówczas młodemu i obiecującemu twórcy, umilono życie i pracę za jego nadmierną fascynację formalistyczną koncepcją teatru Łesia Kurbasa. Umilono do tego stopnia, że musiał opuścić Kijów. Przeniósł się do Moskwy, gdzie przyjęto go z otwartymi ramionami. Im nie przeszkadzało, że „Berezil” (nazwa kurbasowskiego teatru) i że Kurbas. Mimo woli pamięć odgrzebuje słowa wiersza Liny Kostenko o tragicznych losach tego wspaniałego reżysera:

Kurbas legł w tej zamrażniętej ziemi!

Cicho, sza!

Nie zdradza się sekretu

Gdy sumieniem w ciszy ugrzęźniemy,

To kto z nas śmie nazwać się poetą?

Patrzę na tego człowieka z zazdrością. Wrócił. Zrzekł się łatwiejszej drogi i łatwiejszej sławy. Wrócił do pracy. Bez triumfalnych dzwonów. Po prostu przyjechał i przystąpił do roboty.

Nasza grupka udaje się do najbliższej stacji metra koło stadionu centralnego. Jedziemy do domów. Po drodze, na przystankach, odrywają się od naszej kompanii kolejne osoby. Na Chreszczatyku wysiada Rostysław. Dalej mu już z nami nie po drodze. Żegnam się z nim na długo. Na rok, może dwa. Do końca jedzie ze mną Łeś Taniuk. Cieszy mnie to. Rozmawiamy o minionym wieczorze. Początkowo w sposób zawężony, jako o wieczorze jubileuszowym Dracza. Później w ogólniejszym planie. Taniuk jest bardzo rzeczowy. Pytam wprost:

- Czy jego powrót do Kijowa, ten wieczór niezwykle i szereg innych zdarzeń mniejszych i większych, które wymieniam, to elementy trwałej odnowy i czy nie nastąpi to, co już zdarzyło się w latach sześćdziesiątych?

Patrzy na mnie z zastanowieniem, w końcu mówi:

- Tego nie można wiedzieć. To przecież sprawa przyszłości. Mogę jedynie panu powiedzieć, że jeszcze nigdy dotąd nie mieliśmy tak głębokiej wiary i pewności.

Rozmawialiśmy jeszcze o wielu sprawach, lecz właśnie to stanowcze zdanie utkwiło mi w pamięci najbardziej. Wiara i pewność. A może pewność oparta na wierze? Dla nas to kategorie nieznanne, niezrozumiałe. Jesteśmy zbyt sceptyczni. Zbyt negujący. Trudno jest to pojąć.

Żegnaliśmy się już jako znajomi. Życzyłem mu spełnienia planów. Życzyłem owocnej pracy. Uśmiechnął się i odparł:

- Dziękuję za te życzenia. Zapewniam pana, że wiele od nas zależy i chyba zdołamy wiele dokonać. A czego mam życzyć panu? Bo tak naprawdę, to nie wiem.

Nie umiałem mu niczego podpowiedzieć. Ograniczyłem się do słów:

- Jesteśmy w takiej sytuacji, że chyba najlepiej byłoby nam życzyć wszystkiego dobrego.

Zaśmiał się.

- Niech więc tak będzie. Wszystkiego dobrego.

Roman Gorzelski

ŻYWI I MARTWI

Kreszczatyk wodą z Dniepru odświeża kasztany,
Tęsknym głosem zwołuje tu słońce i ptaki.
A jaką tajemnicą zakopano, jaki
Był ów dzień, mit kozacki - teraz zapomniany...

Kołczany tutaj dawno utopiono w morzu:
Legioniści, rycerze odeszli ze śpiewem...
A kozackiej mogiły poszukaj pod drzewem.
Może znajdziesz ja w ziemi zanurzonej w zbożu.

Czacki ma swoją głowę w skale Żytomierza:
Wielki Conrad też stamtąd do Albionu zmierzał,
Ich oczy krwawy popiół przesłaniał jak miedziak.

Burze potem leciały po stepie, taczanki...
Rzeki cicho mijaly pożogi, lepianki,
Tajemnice, o których tylko martwy wiedział.

WSTĘGA DNEPRU

Kijów nad samą wodą jest wzgórzem na krzyżu:
Krymskie wiatry jak hordy w ląd przepastny wieją
I tamtędy płacz niosą, rozpacz i nadzieję
Z czasów, kiedy półksiężyc zatknęto na wieże.

A potem rogi: z hełmów opadły, przegniły...
Jakaś chmura, jak armia w step na północ leci:
Idą ludzie od gwiazdy do gwiazdy, poeci...
To ich myśli objęły przydrożne mogiły,

Aby wnukom nie brakło kwiatów ani chleba,
I żeby już ich dzieci nie bały się nieba.
Pod którym krąży tylko rozwinięte słońce. ..

Gdzieś w tych domach są noce łaski i cierpienia,
Jest pamiętnik historii, jak dzień do zbawienia
I te pomniki, które czekają na wieńce...

SUCHY PAŹDZIERNIK KIJOWSKI

Za oknem kasztan: liści brązowe ikony...
Noc się zbliża powoli, ten z nieba spadochron,
Przysypuje światłami, błękitem i ochrą
Z ziemi srebrnej wykuty półksiężyc czerwony.
Kwiaty ciemnobrązowe żeglują w tej ciszy,
A każda z głów się budzi i każda zasypia.
Rosną kości, śpi człowiek, strach mu oczy przypiął
I żółte światło świecy pokojem kołysze.

Tu od wielu tygodni suchy ulic parów:
Deszcze kiedyś nadejdą, rzucą złoto darów
I znów niebo jesienne przed sobą potoczą.
Wiatry z ciepłym przyśpiewem szukają w gałęziach,
Krew w żyłach i myśl w głowach, słowa na uwięzi...
I tak wszystko kołocze po jesiennej nocy.

PIOSENKA KIJOWSKA

Pali lulkę , stary kozak,
A pod górą koszą żeńcy.
Wielkie łupy są na wozach:
Z Krymu śniadzi idą jeźdźcy...

Śpiew i krzyk, jak powitanie,
Ilu jednak w drodze padło...
Nawet pamięć nie zostanie
Po nich, tylko porzekadło,

Że jak Lach z Kozakiem pije,
Nawet czart jest jak owieczka:
Żaden wróg ich nie przeżyje,

A zmoże ich tylko sprzeczką
Nierozważna - szable toczy,
Jak ta rdza: i gasną oczy...

Kijów, maj 1984

W STRONĘ SICZY

Któż nie zna miasta ludzi,
których koń był bogiem
- uśmiech tu wywoływał
galop hord łuczniczych.
Twierdzą był każdy jeździec
i rój strzał kąśliwych -
u boku przytroczony ten bilet
podróży
jak semafor otwierał
drogi pełne łupów...

Kijów październik 1984

KIJOWSKIE NOTATKI

W niedzielę wieczorem przez Kreszczatik przewalają się mniej więcej takie tłumy spacerujących, jak u nas wielkich miastach godzinach szczytu. Nic dziwnego, przecież to główna ulica Kijowa, który liczy już przeszło 2,5 miliona mieszkańców. W restauracjach komplety, o czym informują wywieszki oraz umundurowani portierzy pilnujący wejścia. Nieliczni jednak czekają pod drzwiami, aż zwolnią jakieś miejsca. Idą po prostu posiedzieć do jednej z wielu kawiarni, herbaciarni lub lodziarni. W tych ostatnich obowiązuje samoobsługa, niewielka marża w porównaniu do cen detalicznych oraz zakaz palenia tytoniu. Zresztą, jak się później okaże, palacze są najbardziej dyskryminowaną częścią społeczeństwa Ukrainy. W pociągu sypialnym palić nie wolno, na dworcu również, w lokalach gastronomicznych też, w filharmonii na palarnię wydzielony jest kącik w pobliżu ubikacji, co raczej zniechęca niż zachęca do sięgania po papierosa. No bo jak tu stać w wizytowym ubraniu pod toaletą?

- Czy to jest dyskryminacja? - zastanawia się głośno nasz przewodnik Stanisław, kiedy przysiadam na ławce, aby zapalić papierosa. - Raczej nie. Po prostu, chcesz się truć, to truj się sam, ale przy tym nie zatruwaj życia innym.

- Palacze się nie buntują? - pytam.

- Przestali. Z opinią publiczną i konsekwentną postawą władzy nie wygrają.

Obserwujemy spacerujących po Kreszczatiku. Starsi kijowianie gustują w strojach o tradycyjnym kroju, utrzymanych w ciemnej kolorystyce. Młodzi niczym nie różnią od swoich rówieśników w innych krajach Europy. Dżinsy, ortalionowe kurtki, buty sportowe, włosy różnej długości, ale bez przesady w jedną czy drugą stronę.

- Byłem tutaj dziesięć lat temu - zwierza się kolega z Warszawy - i nie poznaję tej ulicy. Ci ludzie są zupełnie inaczej ubrani..

- Dziesięć lat to sporo czasu. Jak się rzetelnie pracuje, to wiele można zrobić - uśmiecha się Stanisław. - W samym Kijowie mamy już takie zakłady przemysłu lekkiego, które potrafią wytwarzać odzież naprawdę wysokiej jakości. Poza tym sporo importujemy. Bo a jak komuś zależy, aby być na bieżąco, co z mody światowej, to może sobie zamówić ubranie w spółdzielni usługowej. Ceny są umiarkowane, a fachowcy dobrzy.

Wracamy do hotelu. Po drodze wstępujemy do kilku sklepów spożywczych, które mimo niedzieli są otwarte do godziny 21. Bogaty wybór ryb świeżych, wędzonych i w puszkach. Mięsa wieprzowego i drobiowego też nie brakuje. Kilka odmian twarogów i serów, śmietana o nie spotykanej w naszym kraju gęstości. Obok śliwki, czyli śmietanka do kawy i wyrobów cukierniczych. I pieczywo! Pieczywo w kilku gatunkach, którego jakość można porównywać tylko z wypiekami naszych najlepszych prywatnych piekarni.

- Jak to robicie, że w tak dużym mieście macie tak dobry chleb?

- Nie wiem - wzrusza ramionami Stanisław. - Nie miałem przyjemności prowadzić wycieczki piekarzy z innych krajów, więc akurat w tych zakładach nie byłem. Poza tym od lat nie zmienia się, jego jakość. Nie ma też kłopotów z ilością, więc nie miałem powodów, aby się interesować tym zagadnieniem. Po prostu chleb to chleb i już.

* * *

Stoimy na niewielkim, wybrukowanym placu, okolonym resztkami średniowiecznego muru. Jest to najwyższe wzniesienie po prawej stronie Dniepru tym miejscu 1500 lat temu plemiona naddnieprzańskich Słowian założyły gród, który przez wiele wieków nazywano "matką miast ruskich". W drugiej połowie XII wieku Kijów był trzecim co do wielkości miastem Europy (po Konstantynopolu i Salonikach), ale kilkadziesiąt lat później zniknął z powierzchni ziemi, a "z całej jego wielkości tylko imię pozostało", jak napisał historyk Mikołaj Karamzin.

- Tu stała niegdyś cerkiew Dziesięcinna - mówi Stanisław,

- Kiedy 5 grudnia 1240 roku wojska tatarskie pod wodzą Batu-Chana przez Lackie Wrota wdarły się do dolnej części miasta prawie cała ludność cywilna schroniła się wewnątrz cerkwi. Balkony i wieże nie wytrzymały jednak ciężaru tylu tysięcy ludzi. Zawaliły się grzebiąc w swych gruzach wszystkich, którzy w niej byli. Następnego dnia Tatarzy zdobyli miasto i urządzili straszliwą masakrę, wybijając wszystkich tych, którzy nie schronili się w cerkwi. Po wiekach archeolodzy odkryli w piecach zniszczonych zabudowań mnóstwo zwęglonych szkieletów ludzi wrzucanych żywcem w gorący ogień. W jednej z licznych zbiorowych mogił doliczono się szkieletów przeszło dwóch tysięcy ludzi. Po ograbieniu i zniszczeniu Kijowa Tatarzy ruszyli na Zachód. Rok później byli już na Węgrzech i u was pod Legnicą.

Przez siedem wieków pisano rzezi Kijowa jako o niestłuchanym okrucieństwie barbarzyńców ze Wschodu. I nikt z historyków, humanistów czy też zwyczajnych ludzi nie przypuszczał, że kiedyś na tym mieście i jego mieszkańcach zostanie dokonana zbrodnia jeszcze straszliwsza. Tym razem przez cywilizatorów z Zachodu. 19 września 1941 roku hitlerowcy zdobyli bowiem Kijów. W jednym z waszych

więzień żyje jeszcze hitlerowski komisarz Ukrainy Erich Koch - mówi Stanisław, kiedy stoimy przed gruzami Soboru Uspeńskiego w Ławrze Peczerskiej. - To na jego polecenie zniszczono ten sobór. Przed i po jego wysadzeniu pozował tutaj do fotografii. On też wygłosił następujące słowa:

- Moi panowie, jestem znany jako brunatny pies. Dlatego też mianowano mnie komisarzem Rzeszy na Ukrainie. Naszym zadaniem jest nie zważając na względy uczuciowe i majątkowe Ukraińców, wypompać z Ukrainy wszystko. Panowie, oczekuję od was absolutnej bezwzględności w stosunku do tubylców.. Erich Koch nie zawiódł się na swoich podwładnych. W ciągu jedenastu dni września 1941 roku pod Kijowem, w Babim Jarze wymordowano 90 tysięcy kijowian. Dzieci zabijano pałkami i łopatami, gdyż oszczędzano kul. Jeńców wojennych umieszczano w obozie w Darnicy. O obozie tym Anatol Kuzniecowa napisał tak:

"Ogromny obszar, otoczony drutem kolczastym. Za te druty zapędzono około 60 tysięcy jeńców, ciągle uzupełniając to liczbę nowymi partiami. Jeńców wpędzono przez bramę i pozostawiono samym sobie. Przy wejściu jednak hitlerowiec oddzielał dowódców, politruków i Żydów, których udało im się wykryć i umieścić ich za osobnym ogrodzeniem. Utworzono jakby obóz w obozie. Wielu było ciężko rannych. Zanoszono ich i kładziono na ziemi. To ogrodzenie było pod wzmocnioną strażą.

Olbrzymie masy ludzi siedziały, spały, chodząc z miejsca na miejsce w oczekiwaniu czegoś. Jeść nie dawano nic. Stopniowo zaczęli wyrwać trawę, jeść korzonki, a wodę, pili z kałuż. Po kilku dniach nie było już ani źdźbła trawy obóz stał się nagim, udeptanym placem. Nocami było zimno. Ludzie z każdym dniem tracili ludzki wygląd, mroz zbijali się w gromadki jeden kładł drugiemu głowę na kolanach, temu na kolana kładł głowę następny i tak dalej, póki nie powstał ciasny kłębuszek. Rano, kiedy zaczynał się on poruszać i rozpełzać, na miejscu pozostawało kilku umarłych w nocy.

Ale oto Niemcy ustawili kotły i zaczęli gotować buraki. Wyrwali je za ogrodzeniem, wokoło ciągnęły się wielkie pola kołchoźnicze z nie sprzątniętymi burakami i kartoflami. Każdy jeniec otrzymywał jeden czerpak wodnistej polewki z buraków. Osłabieni z głodu zostali kijami i wrzaskiem ustawieni w kolejkę, a następnie do kotła musieli pełzać na kolanach i łokciach. Wymyślili to Niemcy, po to, żeby kontrolować podchodzenie do kotłów".

Dowódcom, politrukom i Żydom, którzy znajdowali się w ogrodzeniu wewnętrznym nie dawali nic. Przerzyli oni całą ziemię, zjedli wszystko, co można było zjeść. Piątego, szóstego dnia gryzli swoje obuwie i rzemienie. Na ósmy, dziewiąty dzień część umierała, a pozostali przy życiu byli na pół obłąkani. W obozie tym zamordowano i zgładzono 68 tysięcy jeńców, a resztę wywieziono na roboty przymusowe do Niemiec.

Niewiele ponad dwa lata rządili hitlerowcy w Kijowie. Zdążyli jednak wymordować około 195 tysięcy mieszkańców. Zniszczyć 800 zakładów, doprowadzić do ruiny prawie wszystkie szkoły, szpitale i gmachy użyteczności publicznej oraz wiele urządzeń fabrycznych, wagonów tramwajowych, trolejbusów, cennych eksponatów muzealnych, nawet dzwony cerkiewne. Straty materialne Kijowa oszacowano na 10 miliardów przedwojennych rubli!

- Dzięki pomocy udzielonej nam przez inne republiki radzieckie dość szybko usunięto wojenne zniszczenia - mówi Stanisław. - Co do soboru Uspeńskiego, to były dwie koncepcje. Jedni uważali, że nie należy go odbudowywać, gdyż ruina będzie pomnikiem hitlerowskiego barbarzyństwa. drudzy zaś byli zdania, że warto go zrekonstruować. Władze opowiedziały się po stronie zwolenników rekonstrukcji, a więc Sobór będzie odbudowany.

* * *

Jarosław Mądry. aby upamiętnić po wsze czasy swoje zwycięstwo nad koczowniczym plemieniem Pieczyngów kazał zbudować Sobór na wzór słynnej świątyni świętej Zofii w Konstantynopolu. Jego wola zmaterializowała się w 1037 roku i przetrwała do dzisiaj. wzbogacona o obiekty towarzyszące. takie jak dom metropolity. klasztorną jadalnię. czy dzwonnice. - Sobór Sofijski nie był udaną budowlą a twierdzi Stanisław. - Po prostu zbyt wiernie trzymano się pierwowzoru. Zapominają o tym, że w Kijowie są inne warunki klimatyczne niż w Stambule. Więc po wybudowaniu soboru wykonano jeszcze szereg prac aby budowlę ocieplić. Udało się to połowicznie. W mrocznym wnętrzu. nad głównym ołtarzem dominuje sześciometrowa mozaika przedstawiająca Matkę Boską modlącą się z podniesionymi dłońmi. Mozaika wygląda tak. jakby dopiero wczoraj zakończono jej układanie.

- To rekonstrukcja? - nie wytrzymuje jeden z kolegów.

- Nie, uśmiecha się Stanisław, - Ma tyle lat. 11e ten Sobór. Nie trzeba było uzupełniania ani jednej kostki, a jest ich tam dwa miliony.

- Dwa miliony? - niedowierza koleżanka.

- Ani jednej więcej. Na dodatek zostały tak zmyślnie pokryte szkliwem, że w blasku migocących świec wydaje się, że ta postać unosi się w powietrzu i porusza się. Nasi konserwatorzy oczywiście mają pewien wkład w to że mozaika wygląda tak świeżo.

- Jaki?

- Dokładnie oczyścili ją z wielowiekowego brudu nie używając żadnych środków chemicznych tylko wody i mydła. Więcej pracy mają z freskami. To żmudna i delikatna praca. Korzystają z doświadczeń waszych fachowców, ale robią to sami. Najlepiej zachowały się freski z portretami

członków rodziny fundatora soboru . Musimy wierzyć artyście, że tak wyglądał sam władca, jego żona Irena, synowie Izaśław, Światosław, Wsiewołod i Włodzimierz oraz córki Anna, Elżbieta i Anastazja. Anna została żoną króla francuskiego Henryka I, Anastazja - królową węgierską, zaś Elżbieta - królową Norwegii. Izaśław ożenił się z córką mieszka II Gertrudą, a Włodzimierz pojął za żonę córkę króla Anglii.

- Żadna kijowianka nie chciała Niemca? - pyta koleżanka.

- Tak jak wasza legendarna Wanda - śmieje się Stanisław.

- Znalazła się i taka, która Niemca poślubiła, ale to wnuczka Jarosława, Adelajda. Została żoną cesarza niemieckiego Henryka IV.

- Musiały mieć w sobie coś te kijowianki, że królowie z całej Europy chcieli je mieć za tony - żartuje kolega.

- Po prostu miały dobrego tatusia, który rządził potężnym państwem i to było ważniejsze niż uroda - ripostuje Stanisław. - Poza tym należy pamiętać, że jak na tamte czasy były to kobiety bardzo wykształcone. Umiały czytać i pisać, a tym samym intelektie górowały nad swoimi mężami. Anna na przykład żali się w listach do ojca, że nudzi się w wiosce, którą nazywają Paryż. Ba, przywiozła z sobą, do Paryża książkę, której przez wiele lat po jej śmierci nikt we Francji nie potrafił odczytać. Dopiero jak Piotr wielki zjawił się na dworze francuskim, to ją rozszyfrował.

Ulicą Włodzimierską schodzimy w dół i zatrzymujemy się przed Złotymi Wrotami. Zostały one zrekonstruowane w ubiegłym roku, czyli na 1500-lecie Kijowa. Są wierną kopią tych, które wybudował w 1037 roku Jarosław Mądry. Przez nie wjeżdżały do Kijowa uroczyste poczty wielkich książąt oraz kolumny zwycięskich wojsk.

- Ach, to w te wrota uderzył swym mieczem Bolesław Chrobry - wrywa się koleżanka.

- Dziecko drogie - irytuje się starszy kolega. - Policz sobie na paluszkach. Chrobry był w Kijowie w 1018, a Złote Wrota wybudowano 19 lat później. Walił ą więc mieczem we wrota, których jeszcze w planie nie było.

* * *

Zakonnik Antoni miał dosyć życia w Lubeczu na Czernihowszczyźnie, więc któregoś dnia w 1051 roku przywędrował do Kijowa i zamieszkał w skalnej pieczarze nad Dnieprem. Chciał wieść żywot pustelnika. ale ludzie szybko zwiedzili się w okolicy pojawił się świątobliwy mąż i zaczęli tłumnie go odwiedzać. Wkrótce dołączyło do niego dwunastu innych zakonników, wykuli sobie pieczary, no i w ten sposób z jednej pustelni powstał klasztor, nazwany później Ławrą Kijowsko-Pieczerską. Zakonnicy drążyli w ziemi coraz to nowe korytarze, cele, kaplice, a władcy zajęli się stawianiem na powierzchni coraz to nowych soborów. Pierwszym był Sobór Uspieński, po nim Cerkiew Troicka, później wyrosły kaplice nad wejściami do podziemi oraz liczne zabudowania klasztorne, zarówno mieszkalne, jak i gospodarcze. Całość została opasana kamiennym murem i stała się państwem w państwie o powierzchni kilkakrotnie większej niż średniowieczny Kraków.

Zakonników przybywało, a każdy z nich chciał zamieszkać we własnoręcznie wykutej pieczarze. Więc po wydrążeniu Pieczar Bliskich o łącznej długości pół kilometra, zabrali się do drążenia Pieczar Dalekich długości tych ostatnich nikt dokładnie nie zmierzył, bo budowano je bez planu, a roboty konserwatorskie są w toku. Zwiedzającym udostępnionych jest jedynie 230 metrów korytarzy i cel Pieczar Bliskich. Schodzimy do podziemi po kamiennych schodkach. Korytarze są tak wąskie, że z trudnością mijają się w nich dwie osoby, wysokość ich nie przekracza dwóch metrów. Po obu stronach korytarza w niszach stoją sześciokątne trumny z przeszklonymi wiekami. W trumnach leżą przykryte całunami mumie świętych mężów. Spod całunów wystają tylko ich dłonie.

- Dlaczego są tak szczelnie opatuleni? - pytam Stanisława.

- Taka jest wola władz kościoła prawosławnego. Niewierny nie może patrzeć na twarz świętego.

- Szkodzi to niewiernemu. czy świętemu? - zastanawia się koleżanka.

- Nie wiem - wzrusza ramionami Stanisław - ale przyrzekam na głowy tych świętych mężów, że jak przyjdą tutaj z następną wycieczką. to będę znał odpowiedź na to pytanie.

A może ich tam w ogóle nie ma? - szepcze kolega. - Bo te trumny są jak na mój gust za małe. Na oko żadna z nich nie jest dłuższa niż metr.

- Po śmierci co ileś lat kości człowieka kurczą się o ileś tam centymetrów. Nie pamiętam dokładnie. ale to można sprawdzić w jakimś dobrym podręczniku medycyny. A ani tu leżą jut prawie osiemset lat - cierpliwie tłumaczy Stanisław.

Przed celami, czy też małymi kapliczkami. korytarze są znacznie szersze. W tych miejscach pełnią dyżur pracownice muzeum. W sinym świetle jarzeniówek, przez wiele godzin, dzień w dzień pilnują tego osobliwego skarbu. Ile lat można wytrzymać wykonując tą pracę?

- Do wszystkiego można się przyzwyczaić - mówi jedna z pracownic. - Praca jak inne i tyle.

Z uczuciem ulgi wychodzimy z podziemi do niewielkiego pomieszczenia. Całą jego ścianę zajmuje obraz, na którym uwieczniono wszystkich świętych mężów Ławry Pezerskiej.

- To co widzieliście nie jest całą prawdą o tym klasztorze - mówi Stanisław. - . XVIII wieku zakonnicy woleli mieszkać w wygodniejszych pomieszczeniach na powierzchni ziemi. Pieczary stały się dożywotnim więzieniem dla osób kierowanych tu mocy rozkazu cara. Siedzieli w nich również wasi powstańcy.

* * *

Spotkanie w niewielkim, ale ładnym pałacyku należącym do Związku Towarzystw Przyjaźni Narodów. Gospodarzami spotkania byli aktywiści Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Polskiej. Są to ludzie, którzy wiele serca włożyli w propagowanie dorobku kulturalnego i społecznego naszego kraju w ogóle, a Krakowa w szczególności, ponieważ te dwie prastolice utrzymują braterskie związki.

Nasi rozmówcy przygotowani są wręcz doskonale. O swojej republice i jej miejscu w związku republik wiedzą wszystko. Danymi sypią jak z rękawa. I tak, jeżeli chodzi o liczbę ludności, republika przekroczyła już grubo 50 milionów, co stawia ją na drugim miejscu w ZSRR. Terytorium ma 603,7 tysięcy kilometrów kwadratowych, czyli pod tym względem jest trzecią republiką w ZSRR. Podobnie ma się rzecz z Kijowem, który rywalizuje o miano drugiego miasta w Związku Radzieckim z Leningradem. Obszarowo już go wyprzedza, ale jeżeli chodzi o liczbę mieszkańców, to jeszcze nie.

Około 60 procent ludności mieszka w miastach, gdyż Ukraina jest krajem przemysłowo-rolniczym. Znaczna część przemysłu oparta jest na własnych zasobach surowcowych. Zagłębie Donieckie daje węgiel kamienny. Zagłębie Dnieprzańskie - węgiel brunatny. Podkarpacie i Krym - ropo naftową. Zagłębie Krzyworoskie, Krzemienczuk i Kercz - rudy żelaza, a w Nikopolu są największe zasoby manganu na świecie. Ponadto Ukraina ma własne złoża rud rtęci, niklu, tytanu i wiele, wiele innych. W produkcji ogólnozwiązkowej daje ponad 50 proc. rud żelaza i koksu, ponad 40 proc. Stali i żelaza walcowanego. ponad 30 proc. Węgla kamiennego. Traktorów i siewników. Jeżeli chodzi o produkcję rolną, to 60 proc. cukru w ZSRR pochodzi z Ukrainy, 30 proc. pogłównia trzody chlewnej oraz połowa zbiorów słonecznika. Co roku obsiewa się na Ukrainie sześć milionów hektarów ziemi pszenicą, 3,3 miliona hektarów - jęczmieniem i 2,2 miliona hektarów kukurydzą. Na terenie republiki działa 66 teatrów i 26000 klubów oraz domów kultury. Placówki naukowe zatrudniają około 150 tysięcy pracowników naukowych. bo na Ukrainie jest 140 wyższych uczelni. Szkół średnich jest trzydzieści tysięcy. Nic więc dziwnego, że Ukraińska SRR ma 1.5 miliona specjalistów z wyższym wykształceniem oraz ponad 2 miliony ze średnim.

Oczywiście Kijów zajmuje w republice miejsce szczególne i można o nim - jak twierdzą nasi gospodarze - mówić w nieskończoność. I końcu rozciąga się nad Dnieprem na przestrzeni 50 kilometrów. Pytamy więc o budownictwo mieszkaniowe. Okazuje się że corocznie klucze do własnego mieszkania otrzymuje około 25 tysięcy rodzin, ale kolejki do mieszkań są. Czekają przeciętnie siedem lat. Ci, którzy zdecydowali się na wstąpienie do spółdzielni mieszkaniowej, mogą otrzymać mieszkanie średnio o dwa lata wcześniej. W niektórych zakładach, które same budują mieszkania dla swoich pracowników. Czas oczekiwania bywa jeszcze krótszy. Przeprowadziliśmy analizę podań tych, którzy ubiegają się o mieszkania - mówi jeden z gospodarzy, pracownik władz miasta.

- Okazało się, że prawie cztery piąte to tacy, którzy chcą poprawić sobie warunki mieszkaniowe, a tylko jedna piąta jest bez mieszkań. I te proporcje nie zmieniają się od lat, choć obowiązuje zakaz meldowania nowych mieszkańców w Kijowie. No ale przecież nie Można zabronić kijowiankom wychodzić za mąż mąż za mężczyzn z innych republik, a kijowianom żenić się z kim chcą.

- Uderzam w konkury do jakiejś kijowianki - szepcze kolega. - Przed wyjazdem dowiedziałem się, że mam realną szansę na własne mieszkania około roku dwutysięcznego.

* * *

Ostatnia niedziela w Kijowie. Spacerujemy po Kreszczatiku. Ot taki pożegnalny spacer. Kto wie kiedy uda się tu jeszcze raz przyjechać. Więc warto przejść się jeszcze raz aby sobie utrwalić atmosferę tej ulicy.

- Słuchaj - mówi kolega - tyle chodziliśmy po tym Kijowie i ani razu nie spotkaliśmy na ulicy uwalonych mężczyzn czy kobiet. Pod ziemię się zapadli. czy co? Przecież na dobrą sprawę to tutaj nawet patroli milicyjnych nie ma tyle co u nas. Faktycznie. Dziwna sprawa. Ale nie ma z nami nieocenionego Stanisława, który z pewnością wyjaśniłby nam jak się uporano się z tą plagą, tak typową dla naszych wielkich miast.

Wracamy do hotelu. Przed wejściem jakiś mężczyzna przybrał na chodniku pozycję horyzontalną i mimo wysiłku trzech kompanów nie chce jej zmienić. Stanęliśmy jak wryci. Widząc nasze zdziwienie portier. jakby do siebie. ale na tyle głośno abyśmy słyszeli stwierdził:

- Ci z Zachodu W ogóle nie umieją pić naszej wódki.

I poszedł pomóc mężczyznom zapakować kompletnie pijanego kompana do mikrobusu z austriacką rejestracją.